KAMENA

MIESIĘCZNIK LITERACKI

BIBLIOTEKA
Wydz. Humanistyczny KUL w Lublinie
Data Podz. Nr

LUBLIN
CHEŁM
ROK VII

NR 1

ROK VII **KAMENA** NR 1 (61)

MIESIĘCZNIK LITERACKI

LISTOPAD 1945 R.

TREŚĆ NUMERU PIERWSZEGO

	Od redakcji — — — — —	str. 1
STANISŁAW BALIŃSKI	Do poezji polskiej —	„ 2
CZESŁAW JANCZARSKI	Pamięci Józefa Czechowicza	„ 3
KAZIMIERZ WYKA	O Józefie Czechowiczu —	„ 4
PAWEŁ HERTZ	Pamięci Józefa Czechowicza	„ 15
IGNACY FIK	Atak na Szczucin — —	„ 16
MARIAN PIECHAL	Alfabet — — —	„ 16
KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI	Pamięci... — — —	„ 17
JACEK BOCHEŃSKI	Gawęda z ludem — —	„ 17
JAN SZCZAWIEJ	Gdy niebo kamienne od łun	„ 18
WACŁAW MROZOWSKI	Widziadła — —	„ 18
IGOR SIKIRYCKI	*** — — — —	„ 19
MARIA SZCZEPAŃSKA	Z tych lat — — —	„ 19
	Przekłady z poezji rosyjskiej — —	„ 21
KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI	W 75-lecie śmierci Hercena	„ 27
	Prasa literacka w Polsce odrodzonej —	„ 29
	Kronika Słowiańska — — —	„ 31
	NOTY — — — — —	„ 32

Redaktor: Kazimierz Andrzej Jaworski. Chełm Lub., Reformacka 43.
Przyjmuje w poniedziałki od 17 do 18-ej.

Wydawnictwo: Zespół „Kameny".

Administracja: Jacek Bocheński, Lublin, Curie-Skłodowskiej 2, pok. 34.

Redakcja i administracja w lipcu i sierpniu nieczynne.

CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO 15 zł.

czas. 2552/K157/1.

KAMENA

MIESIĘCZNIK LITERACKI

Rok VII **Listopad 1945 r.** **Nr 1 (61)**

Od Redakcji

Po sześciu krwawych latach – nie, wiekach! – milczenia wznawiamy „Kamenę". Wchodzimy nie tylko w nowy okres wydawniczy, ale i w nową epokę Polski. Stając w obliczu dzisiejszej rzeczywistości z radością i dumą stwierdzamy, że w jej budowie i naszej skromnej cegiełki nie zbrakło. Wszak w ciągu sześcioletniego istnienia „Kamena" na swym odcinku pracy antycypowała poniekąd te ideały i hasła, które się dzisiaj w naszych oczach ucieleśniają. Już w pierwszym roku wydawniczym redakcja zastrzegając swoją zupełną niezależność ideową oświadczyła, że „w epoce przełomowej, w okresie heroicznej walki klasy robotniczej i włościańskiej o nowe oblicze świata z konającym lecz złośliwym jeszcze kapitalizmem upostaciowanym w tym czy innym jawnym czy zamaskowanym faszyzmie staje bezwzględnie po lewej stronie barykady". Stwierdziła dalej w tymże artykule „Spojrzenie wstecz", iż zwracała i zwracać będzie „specjalną uwagę na kulturę narodów słowiańskich, najbliższych nam etnicznie a w równej mierze zagrożonych przez apetyty faszystowsko-hitlerowskich rekinów". I dzisiaj podejmując znowu naszą pracę nie potrzebujemy się legitymować. Program nasz jest znany i wciąż aktualny. Lecz rzeczywistość powojenna stawia przed nami i inne zadania. Do poetów należy moralna i kulturalna odbudowa Polski. Walka z tym zniszczeniem, jakiego dokonała wojna w naszych duszach. Podniesienie poniewieranej przez lata okupacyjne godności ludzkiej. Przywrócenie wartości przykazaniu Żeromskiego: „Czcij człowieka". Obrona imponderabiliów. Ale pamiętamy, że poezja jest nie tylko „matką zbawienia", ale i „piękności". Inaczej, czym by się różniła od modlitwy i dobrych uczynków? Niech piękno słowa polskiego dławione przez niemieckiego zbrodniarza zabrzmi znowu pełnym i czystym głosem wyzwolonej Ojczyzny.

DO POEZJI POLSKIEJ

O wielka pieśni polska, jak ciebie mam kochać
I jakich słów mam dobrać, żeby to powiedzieć!
Kraj bowiem nie oznacza dla mnie granic tylko,
Ludzi, ziemi i lasów, kamienia i wody,
Ale oznacza jeszcze coś więcej, coś głębiej,
Coś, co tak tajemniczo wiąże. To — poezja.

Pomyśl, ile zawiodło ciał, maszyn i sprężyn,
Ile serc rozszarpano, ile lasów ścięto,
Ile zburzono domów i pól stratowano,
Ty jedna się ocalasz, ty jedna nie giniesz
I nie ulegasz nigdy. Przeciwnie — zwyciężysz,
Jak Warszawa nie cofniesz się przed żadną walką.

Wiedzą to barbarzyńcy. Nie darmo w Krakowie
Strącili uderzeniem bezmyślnym i tępym
Pomnik Pana z nad Niemna, postawiony w hołdzie
Przez ojców, których syny widzą marność rzeczy.

Lecz za największe w świecie chwyciwszy kilofy
Nie mogli — śpiewającej nad nim — strącić strofy.
I teraz jej szukają i teraz ją gonią,
Już myślą, że ją mają — znużeni pogonią
Już chwytają za rymy i łapią za dźwięki,
Pieśń, że córą jest bogów, ucieka im z ręki.

Zarzucano ci — droga — smutki romantyczne,
Artystowskie nastroje, dreszcze skamandryczne,
Żar słów rewolucyjnych, jak ogień zdradzieckich,
I chłód, zimniejszy tylko od chłodu rzeźb greckich,
Nie pamiętając o tym, że kiedy przemawiać
Przypadło ci w historii, mogłaś słowem zbawiać.

— — — — — — — — — —

A gdy przyjdzie mi umrzeć, o wielcy bogowie,
Nie kładźcie mnie do ziemi, co usypia sennie,
Nie rzucajcie do morza, co pieści falami,
Ale dajcie mi zamknąć się jak okrzyk w słowie.

(Z tomu „Wielka podróż" 1941)

STANISŁAW BALIŃSKI.

PAMIĘCI JÓZEFA CZECHOWICZA

Wieczny odpoczynek racz dać, Panie,
poecie bombą rażonemu w stallach,
kiedy z trzaskiem walił się nieboskłon łun.

Nadeszły czasy lute,
chmury zawieszone na dalach —
nie sięgniesz po nie dłonią
w listopadowym deszczu strun.

Oczy Twoje zamknięte na zawsze
śpią, a siano pachnie snem, daleką austerią.
O, losy, losy łaskawsze
w poezji przebogatym prezbiterium!

Usnąłeś — i nie wiesz, jak biło serce klęski,
gdy obca przemoc darła barwy narodowe —
liść butwieje,
czarny sztandar wieje
i krzyż nad Tobą zaduszny, zwycięski.

Wiatr Ci sieje szumy pod głowę,
że nie słyszysz pożogi płaczu,
gdy melodia o żołnierzu tułaczu
jak wieczoru włos nad miastem siwieje.
Kłamstwa nie znasz i łańcuch stalowy
u Twoich nie brzęczy stóp,
więc piosnka jak ligawka
przez ugory nie nowa
i liście sławy ciemnym złotem okryły
grób.

CZESŁAW JANCZARSKI

Ponura lista strat, jakie dotknęły nasze piśmiennictwo w tragicznych latach wojny, obejmuje, niestety, i licznych, bliższych lub dalszych współpracowników „Kameny".

Zmarli wskutek działań wojennych, z rąk zbirów hitlerowskich i ich pachołków lub śmiercią naturalną (pierwsze cztery nazwiska z regionu lubelskiego): Franciszka Arnsztajnowa, Józef Czechowicz, Henryk Domiński, Władysław Podstawka, Teodor Bujnicki, Ignacy Fik, Tadeusz Hollender, Światopełk Karpiński, Włodzimierz Pietrzak, Bruno Schulz, Jerzy Kamil Weintraub, Julia Wieleżyńska, Bronisław Krystyn Wierzejski.

Cześć Ich pamięci.

O JÓZEFIE CZECHOWICZU

Twórczość liryczna Józefa Czechowicza pozostanie równie znamienna dla lat międzywojennych i latami tymi ograniczona, jak w obrębie prozy zamknięty tym czasem i znamienny jest dorobek Zbigniewa Uniłowskiego. I kiedyś zapewne, gdy szukać się będzie dwugłosu nazwisk, skreślonych śmiercią u kresu dwudziestolecia, z losu pozostałych świadkami tej doby jedynie, tych dwóch przed czasem zamilkłych łączyć się będzie, jak łączymy ich już dzisiaj, ledwo za progiem dwudziestolecia stanąwszy. Uniłowski — czyli męska czystość prozy. Czechowicz — czystość poezji.

Czechowicz zginął 9 września 1939 roku. Śmierć jego zdaje się mieć jedynie własności okrutnego przypadku. Nie był żołnierzem i nie padł w szeregu. Nie poszedł za wołaniem rozpaczy, jak samobójcy września. 9 września był to bodaj dzień, kiedy ścigany bombowcami niemieckimi rząd polski przejeżdżał przez Lublin. Czechowicz zginął, przysypany zburzoną budowlą. Cóż w tym oprócz okrutnego przypadku wojny dzisiejszej?

A jednak ta śmierć w jakąś dziwną i przepowiedzianą przeczuciami poety klamrę zamyka jego życie. Czechowicz bowiem urodził się w Lublinie (15.III 1903), w tym mieście ukończył seminarium nauczycielskie, tutaj pracował zarobkowo, tutaj wydał pierwszy tom poezji w 1927 roku („Kamień"). Wciągnęła go później, jak wszystkich prawie młodych, Warszawa, ale i poetycko i węzłami życiowymi pozostał Czechowicz zawsze wierny Lublinowi, aż po ten węzeł ostateczny, który znaczy śmierć. Lublin był jego miłym miastem, które tylekroć w zdumiewających liryzmem i zwięzłością zapisach poetyckich powtórzy się w jego twórczości, Lublin przez niego dopiero przeniesiony w wieczną poezję ziemi polskiej. W tym dziwnym trójkącie geografii poetyckiej, który w Polsce odrodzonej ominąwszy ośrodki główne oparł się swoimi wierzchołkami o regiony dotąd martwe kulturalnie i z nich wyroił poetów, w tym trójkącie: Łódź — Lublin — Wilno, Łódź Tuwima, Piechala, Wilno żagarystów, on najbardziej znaczył szerokość poetycką kąta lubelskiego, jego polskość, muzyczność i wiejskość sielankową.

Lecz nie w tym jest klamra ostateczna jego życia. Nurt przeczuć katastroficznych, który przeciekał przez lirykę naszą ostatnich lat przed wybuchem, płynął również w lirykach Czechowicza, opanowany i ściszony dumną swobodą samodzielności, niechęci do wcielania w poezję nieprzetworzonego kruszcu przeżyć. Na którymś zakręcie tego nurtu czytamy dzisiaj cień losu poety.

Oto fragment wiersza „Żal":

zniża się wieczór świata tego
nozdrza czerwony wietrzą udój
z potopu gorącego
zapytamy się wzajem któś zacz
rozmnożony cudownie na wszystkich nas —

będę strzelał do siebie i marł wielokrotnie
ja gdym z pługiem do bruzdy przywarł
ja przy foliałach jurysta
zakrztuszony wołaniem gaz
ja śpiąca pośród jaskrów
i dziecko w żywej pochodni
i bombą trafiony w stallach
i powieszony podpalacz
ja czarny krzyżyk na listach

o żniwa żniwa huku i blasków

Oto w roku wybuchu wojny ukazała się „Antologia współczesnych poetów lubelskich". Czechowicz uczestniczył w niej naręczem swoich najlepszych wierszy i napisał przedmowę. Przepisuję z niej takie zdania:

„W tym straszliwym zamęcie, w którym jedyną troską społeczeństw jest, czy wojna będzie dziś, czy jutro, w tej epoce nie do opisania, wieszczonej przez średniowieczne proroctwa, obliczające koniec świata na rok 1944, gdzież znaleźć grunt pod stopami? Czego mają dotknąć upadający w nawałnicy, by odżyć, by zaczerpnąć siły nowej?

Miasto rodzinne, ilekroć mi ciężko lub najciężej, do ciebie zwracam się pamięcią, a gdy pamięć twarde przeżycia przypomina — to sercem, to wyobraźnią. Miasto na skłonie pagórka rozłożone, dzwoniące kościałami dzieciństwa, poddające mury odwiecznych budowli słońcu, które tam tyle razy wschodziło to samo, co i gdzie indziej, lecz inne".

Lecz przypomnieć mamy i zrozumieć poezję Czechowicza, nie jego śmierć. Jakkolwiek włączona w ludzkie zależności, jakkolwiek uczestnicząca w dziele żywym, pozostanie jedną z najsroższych strat, zadanych przez wojnę naszej literaturze. Nie tylko ze względu na wiek Czechowicza. Czechowicz dał już miarę swojej poezji, ale sądzę, że puste miejsce jego w czasach, jakich się spodziewamy, byłoby miejscem jeszcze bardziej owocnym, aniżeli w ostatnich latach jego życia. Wiele skrępowań i tragicznych zaiste, nieuniknionych nieporozumień z czasem, z jakimi Czechowiczowi przyszło się zmagać, policzamy w nadziejach naszych za nieobecne w przyszłości. Za nieobecne liczymy warunki historyczne i społeczne tych powikłań. Za nami są już czasy apokaliptyczne, przed nami czasy ładu i dyscypliny twórczej. Któż bardziej byłby na swoim miejscu, jak on, który poprzez bezład padającego świata niósł twórczość swoją właśnie za tymi przewodnikami? Nie on jeden z tych, co odeszli, rzecz to wiadoma. Lecz z poetów, których braknie, on najbardziej.

Z wielu przyczyn skomplikowanych i nieuniknionych u poety o takich wymaganiach wobec własnej sztuki — pokusimy się bodaj schematycznie te przyczyny nazwać — liryka Czechowicza z jego lat najpełniejszych, lat zarazem przywództwa pokoleniowego dla najmłodszych roczników poetyckich, lat więc gdzieś 1933—1939, pozostawia dogłębnie smutny i tragiczny niedosyt. Nie jest w stanie do-

trzymać tego, co mogłaby dać w warunkach innej epoki. A przymiotnikiem tragiczny nie posługuje się jako uwzniaślającym epitetem, ale w jego pełnym brzmieniu: nieunikniony, opłacony winą niezawinioną. Ta wina niezawiniona będzie wnioskiem, który postawimy śmierci Czechowicza, jako jedyny i zasadniczy wyrzut: że złamała linię twórczości, która być może zostałaby oczyszczona w innych, czekających nas latach.

Ten będzie wniosek. Uprzedzam i podaję go bez dowodów. A teraz do dowodów, wstecz, ku linii poetyckiej Czechowicza, ku jej coraz dokładniejszemu uświadomieniu przez poetę. Cechą bowiem tej linii Czechowicza nie jest rozwój, jako rozwój, jako przemiana i porzucanie stanowisk pierwotnych, lecz rozwój jako odnajdywanie coraz dokładniejsze swojego miejsca. Czechowicz bowiem debiutował w latach, kiedy to miejsce ustalić było albo bardzo łatwo, albo — bardzo trudno. Bardzo łatwo przez przyporządkowanie poetyki i wizji do jednej z dwóch walczących ze sobą szkół poetyckich: albo będącego wówczas, pomiędzy 1925 a 1930 rokiem, w pełni sił Skamandra, albo pierwszych formacji awangardy: Peiper, później Przyboś. Bardzo trudno przez — ale nie uprzedzajmy jeszcze pewnych założeń dalszych.

W tych to bowiem latach ukazują się dwa pierwsze tomy Czechowicza — „Kamień" (1927), „Dzień jak codzień" (1930). Umieszczano te początki Czechowicza (zawierające, nawiasem, już tak znakomite utwory jak „Piłsudski", „Na wsi", „Prowincja noc", „Narzeczona") po stronie awangardy, tak stanowcze i zasadnicze są ich przeciwieństwa wobec poetyki Skamandra. Ale te przeciwieństwa, zważmy to od razu, są tą ramową i powszechną krytyką poezji Skamandra, jaką w wiersze swoje wpisywali pierwsi poeci awangardy. Co różne u Czechowicza, podobnie jest różne w całej awangardzie i nie stanowi jego własności szczególnej. „Sztuka pisarska za punkt honoru mieć winna nie ilość pięknych wyrażeń, ale ich celność i rozmieszczenie". („Mój wiersz", Okolica Poetów, 1936, Nr 6). Pod tymi słowy Czechowicza kryje się i zasada antyśpiewnej kondensacji, i postulat równowartościowości obrazowej i treściowej całego utworu, i wreszcie zasada całkowitej transpozycji uczucia na obraz w miejsce liryki bezpośredniej.

Czechowicz jednakże i wobec awangardy staje od razu we własnym obliczu artystycznym. Wyróżniają go już wówczas dwie dyspozycje artystyczne, które z czasem, kiedy w ostatniej fazie dwudziestolecia osłabną wpływy Peipera i Przybosia, jego wyniosą na przywódcę poetyckiego młodych. Tym dwom dyspozycjom na imię — r o d z i m a w i e j s k o ś ć i n i e ś p i e w n a m u z y c z n o ś ć.

Program tematyczny awangardy, kojarzący się ściśle i przeplatający z programem artystycznym, był urbanistyczny. Czy mam tutaj przypominać techniczną i przemysłową i miejską tematykę awangardy? Miasto, masa, maszyna. Czy mam przypominać hasła Peipera? Czy mam mówić o analogiach pomiędzy intelektulną konstrukcją poetycką a konstrukcją techniczną, maszyną, budownictwem nowoczesnym? Nie tutaj miejsce ku temu, dosyć że celowa i urbanistyczna konstrukcja awangardy jest tak socjalnym jak ściśle poetyckim założeniem tego prądu. Człowiekiem wsi jest również, jeżeli o sam budulec poezji chodzi, Julian Przyboś. Lecz ten budulec podlega tutaj

obróbce celowej i przemyślanej i nigdzie jawniej, jak na różnicach pomiędzy Przybosiem a Czechowiczem nie sprawdza się odmienność wskazanych typów awangardy. Bo Czechowicz jest także człowiekiem wsi, ale takim, dla którego prowincja, sielskość, polski krajobraz liryczny, domowe „pejzaże sentymentalne" są główną wartością poetycką. Przepuszcza je przez osobowość moralną na wskroś nowoczesną, daleką od łatwizny uczuć i poglądów, przepuszcza przez opanowaną i świadomą konstrukcję, lecz ostatnim wywarem tego destylatu pozostaje zawsze swojski liryzm, nie budowa intelektualna i zamknięta w sobie.

Na niczym z liryki Czechowicza nie daje się dobitniej sprawdzić tego twierdzenia, jak na jego utworach w temacie wzruszenia lirycznego mieszczących miasto. Oto widzenie fragmentu miejskiego przez poetę ziemi:

za jabłonkowym wieńcem
kościół podnosi wieżyce
wspina się białym źrebięciem
w niepokoju
że nie może się srebrem nasycić
księżycowego wodopoju

(„Krasnystaw")

Znajdujemy u Czechowicza również wiersze, gdzie usiłuje on patrzeć nie jak poeta ziemi:

przez pince-nez widać w błękicie żonglowanie
z rzadka piłka upada na tennisowy kort
ręce ciągle zajęte planet podbijaniem
w pikowej bluzce córka komunisty
w jedwabnej koszuli lord
dysonansowy dystych

(„Inwokacja")

Znajdujemy — ale to jest zły Czechowicz. To jego rzadka maniera całkiem w kosmopolityczno-awangardowym smaku, która nie będzie się powtarzać u dojrzałego Czechowicza. Poeta w pierwszym swym tomie dający perłę swojej poezji wiejskiej „Na wsi" („Siano pachnie snem"), pogłębiać będzie i uzupełniać tę swoją skłonność — oto przykład rozwoju, który jest coraz lepszym uświadamianiem siebie samego. Tę skłonność nazwać już teraz możemy jednym z najbardziej przejmujących czarów poezji Czechowicza. Oto poeta, przed którym wieczyste źródła ziemi biły tak żywo i tak inaczej, w kształcie tak utrafiającym wprost w dzisiejsze opanowanie liryczne, jak u nikogo bodaj w poezji dwudziestolecia oprócz Leśmiana i Piętaka. Lecz Leśmian to jeszcze nurt symbolizmu, a rozlewność poematów Piętaka jest z innego kruszcu artystycznego.

W miarę bowiem lat, kiedy Czechowicz przestał się obawiać, że pierwotny strumień liryczny rozniesie założenia jego poetyki, coraz wyżej w konstrukcji wierszy podchodzi nurt liryzmu. Liryzmu specyficznego, bardzo polskiego, tego, który sprawił, że przy wiejskości

Czechowicza położyliśmy przymiotnik — rodzima. Rodzimym bowiem, specjalnie polskim znamieniem Czechowicza jest u niego pozorna rozbieżność pesymistycznego, mieszczącego zło pierwiastka i jakiejś całkiem bezbronnej liryczności, wprost sielanki w umiłowaniu ziemi. Krainą ukojenia i wdzięku nie szukającego swoich podstaw, wdzięku, który samym zachwytem wystarcza sobie, krainą czystości lirycznej jest u niego ziemia. „Zaczarowany krąg ziemi najmilszej nie odpłynie od poety" — napisał niegdyś Czechowicz o Piętaku. Od niego nie odpływa również — krąg ziemi, w którą wpisana jest także historia, kamień żywy i kwitnący jak drzewo jabłoni.

Ziemia i piękno, z nich przecie, z tych dwóch wierności złożona jest najpierw nasza miłość ojczyzny. Niepowtarzalnym czarem sztuki Czechowicza, do którego żadnemu z uczniów i naśladowców jego nie udało się dotrzeć, jest w jego latach ostatnich osiągnięta równowaga pomiędzy sztuką poetycką całkowicie współczesną, całkowicie transponującą liryzm na wartość obrazu, a tym właściwie bardzo prostym, bardzo polskim kamieniem u dna, wokół którego łuszczy się i śpiewa nurt jego pieśni. Tę równowagę zawdzięcza wszakże Czechowicz przede wszystkim surowej, nie znającej kompromisu poetyce swojej. Sam zaś splot wysokiego wyrafinowania z prostą ludzkością jego postawy duchowej każe go wywodzić, w naszej tradycji poetyckiej, z dwóch całkiem przeciwnych, zdawałoby się niemożliwych do pogodzenia linii liryki: z ducha Lenartowicza i z ducha Micińskiego. Coś z obydwu tych poetów, tak biegunowych, jest w Czechowiczu — linia Lenartowicza gdzieś u dna, w żwirze przeżyć, które gładzi i urabia forma, linia Micińskiego jako ta forma szlifująca i przynosząca wizję.

W ostatnich latach po wiele razy udało się poecie dotrzeć do zupełnej stateczności formy hamującej, wprawiającej liryzm w twardą ramę, i liryczności, która jest tak gęsta, że ohamowanie i obramowanie nie wysusza jej i nie wyniszcza. Przeciwnie, unosi i oczyszcza, niczym poziom wód w głębokich i starych studniach, wód, które gdyby się rozpierzchły, stałyby się nieuchwytne, lecz właśnie przez ramę i zakres zyskują pełność i kondensację. I kiedy ten splot się zawęźlił, splot wiejskości rodzimej, liryczności i specyficznego wizjonerstwa, które nie tyle rozbudowuje, ile okrawa, wyodrębnia, z podobnego splotu wynikały najbardziej czechowiczowskie wiersze, zapatrzone tylko w swoje piękno:

którem nieraz w księżyca pobiałach przemierzał
urocze miasteczko
włodzimierzu

pod perłowym stepem nieba
kiedy noc znajoma
ogrom cerkwi płynął w drzewach
gwiazdy stały w rowach
parowozy gdzieś za stacją
oddychały długo

powiew niósł to i akacją
pachniało nad rzeczką
nad ługą
cień dzwonnicy na ogrodzie
wskazał krzak słowiczy
wołynieje coraz słodziej
pianie okolicy

o miasteczko

(„Westchnienie")

Ten wreszcie przeplot, gdzie w polskiej, siewnej i łanowej ziemi gubiące się miasteczka i miasta poddane są interpretacji człowieka po wiejsku bliskiego natury, daje poezji Czechowicza jej dalszy, z tego jednego wciąż źródła idący wygląd — jest to zarazem poezja prowincji polskiej. Ten wygląd szczególnie podkreślił J. A. Król w ciekawym szkicu o „Ojczyźnie poetyckiej Czechowicza" („Pion", 1939, Nr 5), myślę, że zbyt jednostronnie na tej miedzy miasta i wsi widząc granice tej ojczyzny. Dla nas z tego przeplotu inny wniosek jest ważny. Oto u szczytu swego uświadomienia poetyckiego Czechowicz, niezręczny we wczesnej urbanistycznej próbce, przetworzy i zdobędzie miasto. Człowiek ziemi i człowiek wzruszenia zapanują nad obojętnością masy i kamienia. Zapanują podobnie jak w tej przejmującej „pastorałce" Czyżewskiego — „Kolęda w olbrzymiem mieście".

Jakie są słowa Norwida z „Prób"? — „Dopiero wśród tego miliona, Dopiero w takim obozie ludzkości, Dopiero tutaj, jeżeli nie skona Pieśń twa, nie skona z nieskończoności". U Czechowicza to brzmi:

widziadło śnieżycy wyszydza to świszcze
dłoń trędowatą raniące o głóg
wiesz w łunie wigilii śpiewają chórmistrze
krzewino zaiste zrodził się bóg
lulajże Jezuniu lulajże lulaj

ach ślepi ach głodni nakryci gazetą
po bramach śpią ludzie centurie chór
im sianem stajenki jest asfalt i beton
z ciał można ułożyć piękny wzór
lulajże człowieku lulajże lulaj
ulubione pieścidełko samotności

Tyle pierwszej różnicy między Czechowiczem a awangardą miejską. Jej konsekwencje sięgają w utwory, w których liryka Czechowicza dotarła do pełnej dojrzałości. To wreszcie jedna z cech głównych tej liryki. Powtórzymy ją, kiedy z kolejno snutych wniosków zestawimy coś w rodzaju formuły krytycznej, wyznaczającej odrębność poety.

Różnica druga to nieśpiewna muzyczność tej poezji. Powtarzam nieśpiewna muzyczność, a więc takie uregulowanie rytmicznego łożyska poezji, by nie wpadało ani w złudzenie śpiewności, zresztą dzi-

siaj mało spotykane, ani w złudzenia muzykalności jako płynnej, ciągłej linii rytmicznej, odpowiednika linii melodyjnej, którą do swojej pory żyła muzyka. Od razu zaznaczam, że Czechowicz w ostatniej swojej fazie dawał się nieraz uwodzić pierwszemu złudzeniu, pisał wiersze poddające śpiewkową melodyjność — przykładem klasycznym „Pieśń o niedobrej burzy" — ale takie postępowanie przyszło u niego późno. Było jednym z pobocznych objawów egocentryzmu, w jaki pod wpływem oporu rzeczywistości przeradzało się jego fantazjotwórstwo.

Poruszona sprawa była w chwilach pierwiastkowych Czechowicza rozszczepiona w sposób zdawałoby się nie do pogodzenia. Z jednej strony panująca u skamandrytów koncepcja rytmiczna. Byłoby niesprawiedliwą przesadą twierdzić dzisiaj, że ta koncepcja, wiersz sylabotoniczny skojarzony niekiedy z łamaniem metru lub z rzadkim przeprowadzeniem w wiersz czysto przyciskowy, nie dała wyników poetyckich u jej twórców. Kłamstwem byłoby mówić, że brak sugestywności rytmice Tuwima, że lichy jest jamb Broniewskiego, że nie wbijają się w pamięć łamania metru u Lieberta. Jednakże skutki naśladowcze tej koncepcji były już wówczas, przed rokiem 1930, liche, a coraz bardziej płaskie okazały się z czasem.

Z drugiej strony zacięta, wprost zapiekła w wielu przesadnych argumentach krytyka i praktyka awangardy, podważająca rytmiczność tradycyjną, strofę, frazę wierszową. Czyż trzeba znów przypominać przezwy — kataryniarz, kataryniarstwo. Godzi się natomiast przypomnieć skutki praktyczne w twórczości: wiersz Peipera, wiersz Przybosia. Różne w układzie. Długa, rozmyślnie wzdłużona a jednak bez osadzania na osi rytmicznej fraza Peipera. Urywana, milknąca, gdy milknie obraz, skandowana tylko następstwem metafor fraza Przybosia. Podobne jednakże w tym samym upartym wykluczeniu wszelkich elementów bezpośrednio muzycznych. Dokonało się nie tylko wykluczenie banalnej śpiewności, co jasne, ale także rytmiczności chwiejnej i różnej. Ta zaś może podlegać sporowi, jednak całkowicie usunąć się nie daje. Nie miejsce tutaj snuć przypuszczenia, jak doszło do tej przesady. Czy działał może specjalny resentyment rytmiczny, antymelodyjna uraza, czy swoista forma apriorycznego nowatorstwa, odpowiadać nie będziemy. W każdym razie, oglądane od strony Czechowicza, te antymuzyczne zasady musiały się przedstawiać, jak w tych złośliwych słowach Czernika: „Wiersz Przybosia jest jak gryziona cegła. Styl męczennika, który nie dopuszcza do siebie jednego z rodzajów rozkoszy."

Czechowicz rozpoczyna na tym rozdrożu. Rozpoczyna, świadczą o tym pierwsze jego utwory, będąc całkowicie świadomym tego problemu. Nie jest to świadomość teoretyczna, lecz obowiązująca poetę, który szuka, zasada prób rozwiązań tymczasowych, zanim się staną kanonem własnym. Nie podejmuję się z całą dokładnością zanalizować tego kanonu. Tę niepowtarzalną, wśród dziesiątek podobnych wierszy dającą się rozpoznać muzyczność Czechowicza, odczuwam i słyszę jako motyw główny jego sztuki, a jednak jakimi środkami zostaje zdobyta, określić trudno w zwykłych terminach, używanych zazwyczaj przy podobnych zbliżeniach muzyczno - poetyckich. Zasób po-

dobieństw muzycznych jest ogromny: „zaśpiewy, inwokacje, śpiewne rytmizowania, urwanie nuty w półdźwięku, zmiana tempa, przerzucanie miar, wyrafinowana gra wiersza wolnego i regularnego, daleka powtarzalność brzemień pokrewnych.“ (Napierski „Dwie książki Czechowicza“, Droga, 1935, nr 6.).

Dadzą się więc podać pewne związki, przybliżenia, istnieją wiersze, gdzie widać świadomą i wyrafinowaną budowę muzyczności, ale zasadniczo jest ona jakaś bardzo naturalna, oczywista a niepochwytna. Gdybym się nie lękał zbytniego uproszczenia, powiedziałbym, że pochodzi wprost z osobowości poety, z jej biopsychicznej tajemnicy reagowania na zewnętrzność, przyjmowania jej jako piękna w tym jedynym stanie. Czechowicz, który wbrew pozorom był bardzo świadomą organizacją artystyczną, w wyznaniu o tym, jak pisze, świetnie ten stan potrafił nazwać, mówiąc, że tworzy opanowany „jakiemś muzycznem przymgleniem świadomości“ — „muzyczne rozbujanie się własnego wnętrza“, „muzyczne falowanie“, oto słowa dalsze. („Mój wiersz“).

Jednakże od tego jesteś krytykiem, by tajemnicze, „nienazwane niejasne“ spróbować przybliżyć hipotezą, ryzykując nawet to, że przypuszczenie może okazać się błędne. Źródła muzyczności Czechowicza nie biją w warstwie słownej, w warstwie rytmicznej jego poezji, ale głębiej, w jej warstwie znaczących obrazów. Terminologia Ingardena, uproszczona. Rytmika tradycyjna jako obszar związków poezji z muzyką ustala warstwę czysto słowną, warstwę intonacyjno-fonetycznych właściwości słów i zasadniczo na tym poprzestaje. Nie znaczy to, by wartości muzyczne poezji nie schodziły i tutaj ku warstwie obrazów, by jej nie barwiły i nie kojarzyły się z nią, ale raczej i częściej podobieństwo wartości muzycznej przeskakuje tę warstwę i sięga bezpośrednio w znaczenia, w wartości, treści przedstawione. Stąd te spory niemożliwe do jednoznacznego rozstrzygnięcia, czy dany metr jest smutny z samej swojej istoty, czy poważny, czy radosny etc. — przeskok od rysowania muzycznego w warstwie intonacyjno-fonetycznej do samych treści, do samych wartości znaczących. Kierunek jest jednakże jeden i nieodwracalny: promieniowanie rytmiczne od warstwy intonacyjnej w głąb wiersza, aż ku znaczeniom jego.

Z chwilą usunięcia przez pierwszych awangardzistów wszelkiej rytmiki w sensie tradycyjnym, odpadły te problemy — waga poezji przeniosła się wyłącznie w obraz i trop poetycki. Stąd, nawiasem mówiąc, te częste narzekania na przerost opisu, krajobrazu, statyki wiersza w poezji awangardowej. Konsekwentny i surowy był tu tylko Przyboś i od niego prowadzi naturalna linia rozwoju ku Czechowiczowi, nie od Peipera. Ten bowiem nieobecność muzyczności sztukował obecnością długich zdań, pozornie całkiem arytmicznych, rytmicznych bowiem jedynie dzięki naturalnej i twardej konsekwencji posiadanej przez intonację gramatyczną zdania, jego podział na cząstki składniowe. Przyboś niczym nie sztukował. Pozostawiał surową, szkieletową konstrukcję obrazów, znosił cały dach rytmiczny.

Muzyczność Czechowicza jest z ducha awangardy, z linii Przybosia. Z ducha awangardy, ponieważ promieniowanie rytmiczne nie idzie u niego w sposób tradycyjny, od brzmień i fraz metrycznych

w głąb. Ten kierunek jest u Czechowicza odwrócony. Przykłady, gdzie jednakże promieniowanie owo zdaje się iść według miary tradycyjnej, choć zmuszonej do posłuszeństwa, nie są najbardziej jego i własne, aczkolwiek w ostatnich wierszach niepokojąco się mnożą, aż do efektów całkiem śpiewankowych. Z linii Przybosia, ponieważ muzyczność Czechowicza jest nadaniem rytmicznych napięć tej warstwie wiersza, która u Przybosia bytuje najsurowiej i najbardziej samoistnie — obrazy, notaty świata. Rzekłbym, że Czechowicz ten budulec obrazowy, skrzesany i prostościenny, zanurza w irracjonalnym duchu muzycznym i oto prosta belka drga, wchłonięta płynnym, łuszczącym się szkliwem wodnym. Trwa, jest, lecz chodzą nią drżenia falujące i staje się nagle niematerialna, zupełnie w innym istnieniu.

To zanurzenie jest krokiem dalej, jest ogniwem dalszym, które nie będąc prostym nawrotem na porzucone pozycje rozwiązuje — w sposób niestety zbyt niepowtarzalny, zbyt indywidualny — sprawę szukanej nowej muzyczności. By grała nie tylko fonetyka wiersza i swoje drżenie rozprowadzała po całości, lecz by grał obrazowy rdzeń i prowadził swoje drżenie w głąb, ku treściom i znaczeniom. Takie zaś jest promieniowanie rytmiczne, taką jest jakaś wewnętrzna instrumentacja wierszy Czechowicza: prowadzi rytm obrazów, on jest instrumentem głównym, a jego rytm udziela się dopiero warstwom sąsiadującym. Przede wszystkim warstwie znaczeń, ale część muzyczności, mniejsza jednakże, odchodzi również ku warstwie brzmień. Znaczy to, że poezja Czechowicza posiadając swoją muzyczność podstawową w obrazowości, bywa (im bliżej ostatnich lat poety, tym częściej bywa) muzyczną w sensie zbliżonym do tradycyjnego. Lecz to ogniwo dalsze. Ogniwo główne, które łańcuch awangardy przeprowadza za swoim pośrednictwem w inny łańcuch artystyczny, jest w rytmicznym, samoistnym promieniowaniu obrazów.

Wymagają te wywody poparcia jakimś charakterystycznym tekstem poety. Tekst zaś pozwoli przejść do rozróżnień jeszcze dokładniejszych, które wszakże bez odwołania się do konkretnego wiersza mogłyby się okazać zbyt niejasne. Wybieram z „Nuty człowieczej" wiersz, który w charakterze muzyczności poety nie jest najbardziej „czysty", ale przez ujrzenie konstrukcji już złożonej, wielopłaszczyznowej, pozwoli wejrzeć w konstrukcje bardziej jednolite i bardziej znamienne.

tych kijanek tych praczek u potoczka
kujawiak kujawiaczek
siwe oczko śpij
bura burza od boru
i jak bór dudni piorun
rzucili na wodę złocisty kij

pogryzł deszcz widnokręgi niedobry pies
w glinie zburzył krople rude
mokra wieś wieczna wieś
takie dno zielonego świata

znad wisien czeresien zmyło błękit
śpij dziecko niezabudek
no śpij

w okno patrzysz a pocóż
to znasz
niepogoda na uwrociu opłakała trawkę
mam ja za obrazem grający kij

kujawiak kujawiaczek

w muzyce śpij

(„Ze wsi")

Wiersz niesłychanie muzyczny, a jednak jego muzyczność nie idzie od rytmiki. Tak muzyczny, że inkrustacja śpiewkowa („siwe oczko śpij"), choć zasadniczo banalna, nie razi. Posiada wzruszającą naiwność, jaka na pewnym poziomie doskonałości i wyrafinowania jest dozwolona, jako świadectwo zachowanej prostoty. Już czymś wyższym jest inkantacja poddająca rytm obrazów — owo dwukrotne „kujawiak, kujawiaczek". Z pozoru zaśpiew, poddanie rytmu w sensie fonetycznym, a jednak temu uderzeniu oddźwiękają tylko obrazy, nie wprawione w żadne naśladownictwo inkantacji. Właściwy bowiem rytm obrazów jest naprawdę rytmem obrazów, rzeczy wizualnych, rytmem osnutym przede wszystkim na tych odległych nawrotach kijanek, pioruna jako złocistego kija, ligawki jako grającego kija. Trzy akordy obrazów o tym samym współbrzmieniu, wokół nich akordy towarzyszące obrazów innych. Od wiejskiej, widzianej muzyki kijanek po wiejską, słyszeć się dającą muzykę najprostszego instrumentu, fujarki pastuszej.

Gdyby na tym wierszu dało się przeprowadzić cięcie, oddzielające muzyczność bardziej tradycyjną od tego trzonu obrazów, będącego muzyką samą, gdyby tę resztę dało się wyosobnić. oto Czechowicz najczystszy, najbardziej samoswój. Posiadamy wiersze, w których w koncepcji poety już się ten przewód dokonał.

w ciemności przegonny powiew
na dachach strzelistych jak pacierz
noc czarną jamą
niewidzialni trzepocą orłowie
zamość zamość

rynek to staw kamienny
z ratusza przystanią
kolumn kroki senne
dalekie ranó

w ciemności ukosy kortyn
blanki szkarpy
bramy
czarnym się fortem
zamość w ziemię wszarpał

amen *(„Prowincja noc")*

Oto najczystsze promieniowanie rytmiczne poezji Czechowicza. Każde słowo, już nie tylko każdy obraz, jak klawisz, któremu widzeniem absolutnym odpowiada czekająca nazwania rzeczywistość. Każde słowo równie niezbędne jako element wizji, co niezbędne jako element najbardziej lapidarnej muzyczności. Bo każde słowo nosi tutaj przycisk toniczny, wiersz jest lapidarną wariacją na kanwie trójprzyciskowca tonicznego. Tak oto z muzycznych założeń Czechowicza wynika rzadko spotykana u poetów cecha: równa siła i sugestia obrazu, co muzyki w jego lirycę. Dzięki temu równoczesnemu przyżywaniu rytmu przez obraz siłą Czechowicza jest wizualność, zwarta, twardo cięta, siłą jest sugestywność obrazu, jego wdrażanie się jako momentu wizji. I znów sam Czechowicz jest tutaj doskonałym komentatorem: „Przeczytawszy tę swoją wypowiedź spostrzegłem, że daje ona nieco fałszywy aspekt rzeczy. Po pierwsze: narzuca przekonanie, jakoby muzyka była tworzywem moich wierszy, ich żywiołem, podczas gdy w rzeczywistości jest tylko akompaniamentem. Wizja i to co widziane stanowią zrąb mojej poezji, wsparty zresztą na tym, co jest i niemuzyczne i niewidziane." („Mój wiersz"). Tę równorzędność, wywoływaną nadto w zbliżony sposób, poprzez podobnie trudną jak na jego czas i podobnie niebanalną muzyczność posiadał Miciński. Jest w tym podobieństwo struktury artystycznej, dalsza koneksja z Micińskim, którego nazwisko padało nieraz przy Czechowiczu, ale zawsze bez dowodów.

Wreszcie sprawa, która uchodziła za dziwactwo Czechowicza, która niewątpliwie utrudnia, zwłaszcza zwykłemu czytelnikowi, obcowanie z jego liryką, a jednak właśnie w muzyczności miała swoje przyczyny. U jej kresu stwierdziliśmy wielką zwięzłość, ale ta zwięzłość dla samej zasady muzycznej jest niebezpieczeństwem. Grozi bowiem zupełnym oderwaniem obrazów od siebie, zawieszeniem ich w niedźwięcznej próżni, niczym gwiazd, których konstelacje są geometryczne, ale nie mogą być rytmiczne. Tymczasem te obrazy muszą w apercepcji czytelnika niejako n a c h o d z i ć n a s i e b i e, łączyć się echami, które biegną pomiędzy nimi i jeszcze trwają, chociaż głos wydał już inny obraz. Tę potrzebę kontaktu rytmicznego przy zwięzłości stara się Czechowicz zaspokoić znosząc wielkie litery i interpunkcję. Ta potrzeba wyjaśnia uparte forsowanie owej zasady i niewątpliwie w wielu wypadkach swoją rację artystyczną posiada. Jasne, że istnieją utwory Czechowicza, w których jest rzeczą dosyć obojętną, jak będą drukowane, ale nie jest to rzeczą obojętną w „Nucie nad dzwony", „Na kresach", czy „Prowincja noc", by wymienić najbardziej uderzające dowody. Wprowadzenie kropek, pauz etc., potargałoby ich tkankę muzyczną.

Może ktoś rzec naturalnie, że taka skrupulatność jest przesadna, albowiem wiersza mówionego nikt nie wyrecytuje na jednym oddechu i cała zapobiegliwość Czechowicza idzie w niwecz. Otóż nie. Taki druk właśnie naprowadza, jak poeta pragnie, by wiersz został powiedziany, jakiej interpretacji recytatorskiej oczekuje.

Nim z muzycznością się rozstaniemy, z jej brzegu dajmy pomost ku jeszcze innym sprawom, bez których rzecz o Czechowiczu byłaby

zbyt kusa. Ku jego osobowości moralnej. Po śmierci Szymanowskiego wydrukował Czechowicz w „Pionie" wiersz, który później otrzymał nazwę „Modlitwy żałobnej". Oto jej zamknięcie:

póki się sączy trwania mus
przez godzin upływ
niech się nie stanie by ból rósł
wiążąc nas w supły
chcemy śpiewania gwiazd i raf
lasów pachnących bukiem
świergotu rybitw tnących staw
i dzwonów co jak bukiet
chcemy światłości muzyk twych
dźwięków topieli
jeść da nam takt pić da nam rytm
i da się uweselić

Z ducha muzyki — pesymizm. Stanowisko moralne Czechowicza było pesymistyczne, a wiele pozwala mniemać, że agnostyczne również.

(Dokończenie nastąpi)

KAZIMIERZ WYKA

PAMIĘCI JÓZEFA CZECHOWICZA

Czoło z nad książki wznosisz, witając natchnienie;
zawiłych rytmów łamiąc odwieczne prawidła,
z martwej litery wiotkie prowadzisz marzenie,
jak ptasznik, kolorowe chwytasz ptaki w sidła.

Przez ciebie mówią drzewa, obłoki, kamienie,
twoje pióro, jak pendzel kreśli malowidła,
jak ptaki, usypiając, głowy tulą w skrzydła,
jedno za drugim — słowa się kładą uczenie.

O dłoń wąską oparłszy marmurowe czoło
spoglądasz na przyjaciół, co zasiedli w koło,
płonie oliwna lampa i amor pyzaty

z idącą nocą wita się, z kochanką.
I niby pożar gasi tiulową firanką
w wysokim, wąskim oknie zachodu szkarłaty.

PAWEŁ HERTZ

ATAK NA SZCZUCIN

Powietrze tylko łukami jest białe,
od dołu gęstnieje zbrudzonym półkolem.
Z boku stóg zamieniony z początku w napęczniałego pawia
obumiera spróchniałą chorągwią ognia —
Ptak wymyślony przez ludzi, rozkrzyżowany w godła
rozrzuca śnieżki, w których zamknięte oczy i płuc rozwartych aureole.

Przestrzeń się wali splątana borem i trwogą pełna
i z nieboskłonu sypnęło igliwiem oparzonej jodły
— w lotkach zaraźliwych osiada zmierzwiona gazu wełna.

Popłoch porywa pęd niedogaszonych wozów
w źle rozczesane kierunki ucieczki.
Wybuch ziemi roznieca szarą gromadę przepracowanych organizmów
w kloaczny dół, w drzew wyrwę, w bruzdę skośnego wąwozu.

Znów wystrzał, któremu towarzyszy obumieranie serca.
Wzgórza żółtego otworzył się wrzód
pochyła hałda zbombardowanego kartofliska —
nadciągają pośpiesznie tanki w salwach krótkich
śmiertelnych dla naszego towarzysza —

Umierający zamyka oczy:
samoloty, da[illegible] kruki i krzyże, zmieniają się w nagie Afrodyty,
na usta schodzi cudowne nazwanie żony.
Oparta smugom przelatujących płomieni
wizja przemienia się w ruch niedom[illegible]ony czerwonych nieludzko warg —

okropny świat się zakończył:
blask ciała otulonego gorącym żył płynem
poddaje się seledynowi rozgniecionych traw.
W tym wszystkim przetrwa na wieki pod empireum śmiertelnie znużonym
znak zabłąkany na przyszłych łąkach i łanach
czyn nienaganny drżących rąk Antygony:
kopczyk przygodnego kompana.

IGNACY FIK

ALFABET

Zanim ci, synku, w literach
treść drukowaną obnażę,
będę jak księgi otwierał
wszystkie wojenne cmentarze.

Wszystkie po polach mogiły
nauczę czytać jak nuty,
abyś z nich czerpał swe siły
do dalszej w życiu marszruty.

Pokażę ci rany skryte,
głębokie na twarzach blizny
i z nich cię będę jak z liter
uczył imienia ojczyzny.

MARIAN PIECHAL

PAMIĘCI...

Za Twoje włosy ubielone,
za Twoje plecy przygarbione,
za Twe wychudłe, drżące ręce,
za oczy wypłakane w męce,
za biedne Twoje chore serce,
za te miesiące w poniewierce,
za samotności Twej cykutę,
za modlitw długo w noc pokutę,
za łzami pokrapiane listy,
za ten niepokój wiekuisty,
za nieprzyjaciół gorzkie drwiny,
za wszystką rozpacz Twą z ich winy,
za myśli zawsze o mnie pierwsze —
płacę Ci, Mamo, nędznym wierszem.

(„Serca za drutem")

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

GAWĘDA Z LUDEM

Z wami gadam i wam pieśń podać chciałem
jak piekarz biały, co nam chleb przynosi.
Siądźmyż do Pańskiej Wieczerzy,
posilmy się krwią Pańską i ciałem
i pospołu chleb czarny jedzmy:
niewierny jeszcze uwierzy.

Z wami byłem, gdy granaty świtały nocą,
a miasto paliło się powoli.
Niejeden z was ginął. Wtedy czułem,
że mi nowe słowa w piersi łomocą,
że łuna stopy paląca bardziej boli,
że wiosennym skowronkiem nigdy już nie pofrunę.

Z wami pośrodku miast, w kawiarni
przekląłem wszystkich, którzy palą cygara,
nienawiścią czerwoną zawrzałem
z wami.
Brudom i ranom waszym przysięgałem.
— — — — — — — — — —
Oj dana, na wojenkę, hej — po[illegible]ara.

Z wami surmy zwycięskie zagram,
z wami na Wawel królom krwawe sztandary zaniosę
i na grobach królewskich i na grobach nieznanych,
w polach, w dołach, w lasach,
Maciejowi na łożu
pieśni żałobne zawyję.

JACEK BOCHEŃSKI

GDY NIEBO KAMIENNE OD ŁUN

Niebo od łun kamienne. Nie niebo — zagłada.
Dom przez odmęty huku jak tratwa przepływa.
Okolica wymarła, rano jeszcze żywa.
Z świstem nad las pocisków nadlatują stada.

Nie milknie ryk bateryj, grzmi wciąż kanonada.
Deszcz żelaza w dom bije i cegły odrywa.
Matko, niech nas ochrania twa modlitwa tkliwa.
Nadchodzi kres wszystkiemu. Śmierć ku nam się skrada.

W głębi ciemnego schronu, bladzi, dłoń przy dłoni,
Kul świstu nasłuchując, co zgubę przynoszą,
Szepczemy dobre słowa: ty mnie, a ja tobie.

Może wszystko przeminie, miłość nas obroni,
Lecz jeśli śmierć sądzona — będzie też rozkoszą...
Byleby się nie rozstać. Byle w jednym grobie.

JAN SZCZAWIEJ

WIDZIADŁA

O morze przenajświętsze, pozdrowione bądź!

Zatonąć wśród żarnowców pociskiem starganych,
we wrzosach się zanurzyć, zachłysnąć się wiatrem
i płynąć po znajomych sprzed laty burzanach
na czółnie wspomnień krwawym i brunatnym...

Niech żołnierz choć na froncie przez chwilę pomarzy
w zapachu miast palonych i w łunach pożarów
i niech się przyjrzy, morze, twojej wolnej twarzy,
meduzom wirującym wśród wolnych ukwiałów.

Niech niebo gwiazd wygasłych oczy mu przykryje,
niech szum znany usłyszy bijący o brzegi,
karabin niech odstawi, serce niech zabije,
sny wzlecą jak motyle, sny białe jak śniegi.

I znów widzę Rozewie. Samotna latarnia
jak panna zawstydzona z daleka mnie wita —
„Gdzie byłeś przez lat tyle" cichym szeptem pyta,
a echem odpowiada Karwia i Jastarnia.

Otwieram szerzej oczy — Tupadły, Oksywie
chłostane ostrym wiatrem poznają mnie z bliska —
„Gdzie byłeś przez lat tyle" pytają lękliwie,
cóż mam im odpowiedzieć, żołnierz bez nazwiska?

Tylko tyle, że serce nad morzem zgubiłem
i po latach niewoli przychodzę radosny
upić się tą wielkością, jak się raz upiłem
w 38 roku swojej pierwszej wiosny.

Tylko tyle, żem tęsknił tak jak za dziewczyną
i w noc zamiast poduszki armatnią lawetę
miałem. I były chwile, że sam nie wierzyłem,
iż będę mógł się dorwać do ciebie bagnetem...

Ustępują marzenia, widziadła znikają.
Jest noc. Płoną na niebie figury Zodiaku.
W oddali słychać trąbkę — tak to nasi grają —
i ostry dźwięk komendy: naprzód do ataku...

WACŁAW MROZOWSKI

*
* *

Dziś już rozumiem spokój kwiatów
i wiem, skąd róża czerwień czerpie.
Skąd w kroplach rosy błysk szkarłatu,
gdy je na źdźbła naniże sierpień.

Czemu się iskrzy Wisły kora,
gdy zmierzch palcami wód dotyka.
Od stóp Warszawy z piersi borów
sączy się krew na dno Bałtyku.

Umiem w zamarłej ciszy lasu
wyminąć lekko okrzyk sowy,
by znaleźć to, co nie wygasa:
echo skończonej już rozmowy.

Dni mego życia — zgiełk i ciszę
piłuje ciągle wspomnień świerszcz.
To do was, leśni towarzysze,
jak toast wznoszę mocny wiersz.

r. 1945 IGOR SIKIRYCKI

Z TYCH LAT

Styczeń 1945.

Ty umarłaś i ty nie żyjesz — mieszkacie w mojej łzie. Jak Polska cała zaludnione są łzy nasze śmiercią, krzywdą, niemiecką zbrodnią. Płyną obficie, gwałtownie na ziemię wilgotną od krwi, budzą zagasły popiół ciał, czy wzrośnie ziemia, zakwitnie grób? Pozwól mi płakać.

Nawet my, którzyśmy uniknęli śmierci i męki fizycznej, chodzili po ulicach i winem spełniali toast klęsk niemieckich, nie uniknęliśmy więzienia. Kraty więzienia wrosły w żywą tkankę uczuć, zwężoną ich zbrodnią. Pozostał po wyłamanym więzieniu ślad, koleina cierpienia, w której mieszka rdza grobowa. Wzruszenie, gdy powraca jawność treści polskiej, wymywa rdzę, oczyszcza ranę. Pozwól mi płakać. Jak spłukać inaczej osad sześciu lat milczenia, rozbicia, utraty, ocalania się w mroku zbrodni?

Zostały podważone prawa boskie żyjące w nas, zachwiało się nasze pojmowanie świata, gdy ulegliśmy najgroźniejszej zbrodni. Uratowani spod palącego, wulkanicznego gruzu, oślepionymi oczami szukamy obcej racji bezprawia i mordu. I to, że znaleźć jej nie możemy, że nie chwytamy sensu czarnej myśli, że oczom otwiera się czarna rana ziejąca studzienną, zatrutej studni głębią, że istniała bezkarna możliwość szaleństw tych lat, wywraca na nice nasze pojmowanie świata, wprawia duszę w chwiejny dygot, w ten potencjalny szloch, którym są przepojone moje, teraz już spokojne słowa, te westchnienia, stulone, martwe, na wyschłym dnie moich nocy.

Wołasz: zemsty! moja matka nie żyje. Zabita. Zatruta. O, wrząca łzo moja, spal niemiecką ziemię, zatruj niemieckie źródła, skaź mleko matek. Nie ma i nie będzie spokoju, dopóki zbrodnia nie jest ukarana, dopóki ziemia niemiecka nie stanie się pustynią, a czarny mój szloch nie dozna ukojenia. Moja matka nie żyje. Zemsty.

Leżały po ulicach trupy niemieckie, pod mostem, w dołach i kloakach śmierci. Trupy żołnierzy rozszalałego narodu ugiętego pod światem zbrodni większej niż zrozumienie człowieka. Leżeli nieruchomi, zastygli w żółtości ostatniego zamilknięcia, leżą teraz po miastach niemieckich sine zwłoki bestii ukrytej pod mianem człowieka.

Krzyczysz: zemsty!

Lecz zemsta czy wróci nam cokolwiek? Czy w jęku mordowanych Niemców rozróżnisz ledwie tlejący, śmiertelny głos swej zamęczonej matki, swego brata, swojej siostry? Czy w woskowej sztywności trupa rozpoznasz ślepą, drgającą mękę twego syna, twojej żony?... Nie zemsty chcemy, lecz zakazu. Za zniszczone życie, za zburzony dom, zakazu dla pamięci pokoleń. Zakazu, który wymaże z mapy świata zbrodnię, zarazę, od której nie wolne są nasze dusze, zasiane trupim ziarnem, skurczone od grozy łamania się z widmem. Może wtedy, gdy czarny. cyniczny, tragiczny morderca zostanie sprawiedliwie osądzony, spełni się gorzka, nieludzka katharsis dla naszych serc przerażonych. W ponurej surowości świtu usłyszymy ostateczny głos trąb.

A teraz mieszkacie w mojej łzie, nim zamieszkacie w nieśmiertelności, matki i dzieci, pomordowane narody, ludzie bez winy zabici.

Łzy dla umarłych, dla żywych życie. Zabroń mi płakać.

Po ziemi, grobie niewinnych przejdzie pług. Znowu zabłysną stalowe ostrza, lecz wzniecą życie. Ziemio przeorana torturą, zbudź się, urośnij żyzna i bezpamiętna. Ziemia, ta ziemia zielona, sprężona zielonością przetworzonych łez, jest stającym się przyzwoleniem bytu, a naszą pamięć o latach, które z nas opadają, i cenę, którą wyznaczył nam przebieg dziejów za istnienie i odpowiedzialność, którą musimy przyjąć, złączymy z ziemią w trudnej radości przyszłego tworzącego człowieka.

List.

Drogą zieloną jak wstępujący po srebrnej nitce groch, z za murawy kosówek, z za wspomnienia, miałeś przyjść. Z daleka. Za kopcem księżyca zbielałym i wystygłym wytrysła w sposób nieunikniony przeszłość. Fioletowymi falami postąpiły w przód wzgórza, lunatycznym

powiewiem naładowana przepaść zawisła pod Twoim lekkim i uważnym krokiem, mijającym krajobrazy. Głębokie niebo górzyło się blaskiem. Pamiętam.

Szaro-niebieskie niebo błyskawic orze reflektor. Noc zaludniona zbożowym szeregiem, sztywne, świetliste źdźbła uroczyście i powoli tną niebo w przepaście, nieubłagane ostrza krają niebo w coraz nowe horyzonty bezgwiezdne, zmniejszają nasze niebo.

Wgłębiona w ochrypły, sinawy blask rozdrapujący noc, przyzywam Cię. Ciebie, z nieba, z ziemi, z kiełkującego snu. Gdzie Ciebie znaleźć? Twój dom znieważony, ręce podniesione w górę, opór wiotki jak trawa pod czołgiem, opadł. Wydarty wspomnieniu nie pamiętasz ścieżki zielonej — zbyt kosztowne było to przypomnienie, wolałeś mi je, odchodząc, podarować, nie wiesz już, że śliska, ruchoma przepaść to śmierć. Ty śmierć poznałeś inną. Wzburzone, ochlapane krwią, potem i łzami porwało Cię skrzydło, by z nicości bezwładnego odrzucić, na drugi brzeg, u którego stoku klęcząc, przywołuję.

Listy, pocztowe gołębie, krążąc omijają nasz komin. Ostatnie gołębie pierzaste zmieszały się z włóczkowymi obłokami, opadły słonym deszczem na ogród. Zakwitły zielonym grochem, pnączem różnobarwnym.

Palczasty liść dzikiego wina rzucił ponury cień w głąb sielanki okratowanej drutem. Pod cieniem winogradowego liścia szukam uparcie i irracjonalnie Twojego listu, białego gołąbka, który nie przyleci.

Winograd cieknie rosą, deszczem...

N o c.

Pociąg, który Cię wiózł, bez świateł był. Przegryzała noc żrący chlor, nad ospowatą tajemnicą śmierci nie było żadnego Boga. Powietrze zakołysało się próżne. Liście odarte, chyliły się głowy. Media zbrodni rozładowane z życia, bez modlitw idą pod ziemię. Tam boska Kora nie zasili wzlotem wziemiowstąpień, tylko dym kosmaty i tłusty uskrzydla kamienny, obłoczny strop, budzi zimną gwiazdę. Cicho. Nie patrz. Oślepniesz.

Wiatr szumi, urwany. Nie ma melodii, jest płacz i zgrzytanie zębów. I dotknięcia czułe matczynych rąk, które znikły zalane pogrzebem.

Czarna pełnia pod zgniłym księżycem, który gorzką ropą spłynął na bezludne i opustoszałe niebo historyczne.

MARIA SZCZEPAŃSKA

P O E Z J A

Wśród łysków ognia, wśród złych burz,
wśród zbałwanionych głębi mórz,
wśród walk żywiołów i niezgody
z niebieskich do nas zlata stref
— niebianka — ziemian ciszyć gniew
jasnością świętej swej urody
i na wzburzone leje wody
kojący balsam z zbawczych kruż..

FIODOR TIUTCZEW
Spolszczył K. A. Jaworski

MALL'ARIA

Lubię ten boży gniew! Pociąga mnie do siebie
to wszędzie tu rozlane tajemnicze Zło —
jest ono w kwiatach, w źródle przeźroczym jak szkło,
w promieniach tęczy jest i w samym rzymskim niebie.
Ta sama wciąż wysokość bezobłocznych sfer,
tak samo lekko, słodko pierś twa się kołysze,
tak samo ciepły wiatr się wkrada w drzewną ciszę,
ten sam wciąż zapach róż — i wszystko to jest Śmierć!

Kto wie, w naturze są być może tajne dźwięki
i delikatna woń, kolory, czuły głos —
heroldzi, których tu przed końcem zsyła los,
by osłodzili nam ostatniej chwili męki.
I oni właśnie to — Zagłady przednia straż —
gdy już synowie Ziemi żegnać macierz mają,
welonem lekkim tym swą Panią zasłaniają,
by skryć przed nami jej przerażającą twarz.

FIODOR TIUTCZEW
Spolszczył K. A. Jaworski

*
* *

O, nie kładźcie tyko mnie
do wilgotnej ziemi!
Niechaj trawa skryje mnie
liśćmi swemi.
Niech wietrzyka słodki wiew
lekko ją potrąca,
niech ligawki słyszę śpiew,
gdy obłoki spoza drzew
cicho płyną w blask miesiąca.

FIODOR TIUTCZEW
Spolszczył K. A. Jaworski

*
* *

Jak obszar mórz otacza zewsząd ląd,
tak życie w krąg jest otoczone snami,
nadejdzie noc, dźwięcznymi już falami
o ziemi brzeg żywiołu bije prąd.

To jego głos: on kusi nas i prosi,
w przystani łódź czarowna wabi w dal,
a przypływ grzmi i szybko nas unosi
w nieogarnioność swoich ciemnych fal.

Z otchłannych den spogląda nam w oblicza
palący się w gwiazd glorii niebny dzwon
i płyniem tam, a przepaść tajemnicza
otacza ogniem nas ze wszystkich stron.

FIODOR TIUTCZEW
Spolszczył K. A. Jaworski

SYN I MATKA

Syn piersi swoje krzyżem znaczy.
Syn idzie szukać swych przeznaczeń.

W pieśniach matki opuszczonej
złota radość gości:
byle wrócił tu wsławiony,
dożyć tej radości!

Oto, słychać, w lśniącej zbroi
mierzy z mgłą swe siły.
Ducha niebem jasnym poi,
serce — ziemią miłą.

Już heroldy ranne pieją,
noc ucieka z drogi.
Za nią mgły się śpiesznie chwieją
trąbiąc larum w rogi.

Już na łąkach świt zróżowił
kępy mchów ponure
i celują wzrokiem sowim
w stado lekkich chmurek...

Oto syn mój w tym obłoku
w hełmie rannej zorzy!
Tnie strzałami w resztki mroku,
nowe życie tworzy.

Dmucha wiatr oczyszczający,
powiew rzeźki, zdrowy
Syn odrzuca miecz rażący,
hełm zdejmuje z głowy.

Pierś mu spływa krwią czerwon
wczoraj pełna mocy.
Witaj, dali wyzwolona
od tumanów nocy!

W sercu matki opuszczonej
złota radość gości.
Oto syn mój, syn skrwawiony!
Dożyłam radości!

Syn swojej matki nie porzucił.
Syn umrzeć u jej stóp powrócił.

ALEKSANDER BŁOK
Spolszczył K. A. Jaworski

*
* *

Chcę zawsze słyszeć życia zew:
uwiecznić, co istnieje w rzeczy,
bezosobowe — uczłowieczyć
i niespełnione wcielić w śpiew!

Niech dławi życia sen straszliwy
i niechaj duszę się w tym śnie —
może w przyszłości ktoś szczęśliwy
w ten sposób kiedyś wspomni mnie:

To nie ponurość jednak trąca
tajnie napiętych jego strun:
on dzieckiem dobra był i słońca,
on był triumfem wolnych dum.

ALEKSANDER BŁOK
Spolszczył K. A. Jaworski

*
* *

Ligawka wszczęła śpiew na moście
i płatków z wiśni pościg.
I podniósł anioł wysokości
zieloną gwiazdę w nieba strop
i dziwnie teraz jest na moście
w głębinę patrzeć, w taki mrok
i w takie wysokości.

Ligawka łka, drży gwiazda blada,
pastuszku, pędź swe stada...
I wciąż pod mostem woda gada:
Patrz w tę bystrzycę, jaki prąd —
na co ci trosk codziennych zwada
tak przezroczystą, jasną głąb
czyś wzrokiem kiedy zbadał?...
taką głęboką ciszę w krąg
czyś słuchem kiedy zbadał?...

Patrz, jaki bystry w dole prąd,
skąd przyszły sny te, powiedz — skąd?...

ALEKSANDER BŁOK
Spolszczył K. A. Jaworski

*
* *

Nieboszczyk w niepamięci
na białym płótnie legł.
Za oknem wiatr się kręci,
wiruje cicho śnieg.
Zawieja triumf święci,
w całunu dmucha brzeg.

Leciutki płatków puchu,
czego tam szukasz, czego?
Czas przemknął w szybkim biegu
o, nieśmiertelny duchu,
odpuść ciału w bezruchu!
Na tamtym jestem brzegu...

I spokój szczęśliwości
już zewsząd do mnie lgnie.
I wolny wiatr wieczności
w całunu płótno tchnie.
Odpuść, skrzydlaty duchu!
Leć, nieśmiertelny puchu!

ALEKSANDER BŁOK
Spolszczył K. A. Jaworski

*
* *

I znowu dzień bez żadnej zmiany
jak inne minął jakoś tak;
śpiewała nudząc się za ścianą
żona — więziony w klatce ptak.

Zebrałem wolno, obojętnie
wspomnienia — bilans strat i złud
i zrozumiałem beznamiętnie:
życie spłynęło z biegiem wód.

Choć wrócą jeszcze myśli, spory,
ale nie pierzchnie nudy cień;
po cóż opuszczać nisko story?
W duszy dopalił się już dzień.

ALEKSANDER BŁOK
Spolszczył K. A. Jaworski

O CZYM – O TYM?

W tym temacie
osobistym
i lekkim jak piórko
wyśpiewanym nie raz
i nie pięć
jam się kręcił poetyczną wiewiórką
teraz mówię: znowu się kręć!
Temat ten
bowiem jest
i modlitwą dla Buddy
i negrowi na pana wsuwa w rękę sztych.
Gdy na Marsie też
mieszkają sercoludy
to i tam
o tym samym
skrobie
jeden z nich.
Temat ten przyjdzie
kalekę usidła
pchnie do papieru
rozkazując:
twórz!
I kaleka
z papieru
zerwie się na skrzydłach
tylko pieśń się wierszami marszczy w blaskach zórz.

Temat ten przyjdzie
zadzwoni od kuchni
potem odwróci się —
maleńki grzyb,
i olbrzym chwilę
postoi
i gruchnie
zwalony pieśnią jak ciężarem płyt.
Temat ten przyjdzie
i rozkaże
— Świętość! —
Temat ten przyjdzie
i podpowie
— Los! —
i choć na krzyżu dłonie masz rozpięte
tylko walca mruczysz przez nos.
Temat ten i alfabet widzi prostym nazbyt.
Cóż, zdawało się, książka jest jasną jak łza.
I oto staje się
— A —
niedostępniejsze nad Kazbek
zmroczy cię
i bezsenność i głód ci da.
Temat ten przyjdzie
przed innymi zdąży
tylko ci powie:
odtąd we mnie patrz!
I patrzysz się weń, patrzysz,
stąpasz jak chorąży
nad ziemią rozwiewając ogniejący płaszcz.
Chytry to temat!
Pod nurt dni się schowa
do skoku instynktów gotując już szał
i jakby z wściekłości
— to o mnie ni słowa? —
Zatrzęsie
i dusze posypią się z ciał.
Temat ten stanął przede mną gniewny
rozkazał:
— Podać mi wędzidła dni! —
Spojrzał skrzywiony na mój dzień codzienny
i burzą rozmiótł ludzkich spraw mi sny.
Temat ten przyszedł
wszystkie inne starł mi
i tak
nierozłącznie się ocieram oń.
Temat ten nożem mi podszedł do gardła:
O, hamerniku,
Od serca o skroń!
Temat ten dzień mi zaciemnił ciemnością
niech wiersz twój — kazał — tłucze się i rwie.
A temat
ten się:
Miłość —
zwie.

WŁADIMIR MAJAKOWSKIJ
Spolszczył K. A. Jaworski

W 75-LECIE ŚMIERCI HERCENA

W styczniu roku bieżącego upłynęło 75 lat od śmierci pisarza, który, jak żaden inny może, stał się Plutarchem swej współczesności. Twórca historii i jeden z wybitniejszych jej aktorów, człowiek, który żył pełnym życiem swej epoki, będąc jednocześnie jej świetnym kronikarzem: Aleksander Hercen.

Źródłosłów tego nazwiska usprawiedliwiał w zupełności dzieło jego pióra i żywota, a serce jego „Dzwonu" („Kołokoła") biło na alarm spiżowym głosem, budząc sumienie Rosji carskiej i mieszczańskiej Europy. Hercen — barczuk i socjalista, dobrowolny emigrant-„zachodnik" i mesjaniczny słowianofil, myśliciel i polityk, trybun i artysta w jednej osobie.

Żył w okresie wielkich wstrząsów europejskich, zachłystywał się powietrzem wiosny ludów, aby później dusić się w atmosferze rosnącej na gruzach rewolucji reakcji, ocierał się o najwybitniejszych bohaterów ówczesnych, przyjaźnił się z Mazzinim, Garibaldim, Orsinim i Worcelem, znał się z Bakuninem, Kossuthem, Ledru Rollin'em, Louis Blanc'iem, Proudhonne'm i tylu innymi mężami, w swoich pismach pozostawił wspaniały pomnik epoki i rylcem niezawodnej ręki żłobił w marmurze medaliony współczesnych mu działaczy. Jego przed setką blisko lat pisane „Pamiętniki", „Listy z Francji i Włoch", „Z tego brzegu", cała publicystyka „Kołokoła", a zwłaszcza nieśmiertelne „Przeżyte i przemyślane" („Byłoje i dumy") pulsują i dzisiaj niekłamanym, jak najprawdziwszym życiem, porywają swoją treścią, pobudzają do myślenia, wzruszają i czarują. Ale przede wszystkim „Przeżyte i przemyślane", ta jedyna w swoim rodzaju „powieść o samym sobie" i współczesności.

Na ogół za mało wiemy o Hercenie — człowieku i pisarzu, który na łamach swego „Kołokoła" niejednokrotnie dawał wyraz szczerej sympatii dla naszych dążeń niepodległościowych, dla powstania 63 roku. A warto go czytać.

„Przeżyte i przemyślane" to lektura pasjonująca, od której oderwać się trudno jak od najciekawszej powieści. Cały w niej Hercen zamknięty i gdyby nam nic więcej poza tymi autobiograficznymi kartkami nie pozostawił, wiedzielibyśmy już o nim, literacie i człowieku, wszystko. Całe jego przebogate życie: młodzieńcze wzloty, konspiracyjne kółka, więzienie i zesłanie, a potem emigracja — Paryż, Italia, Szwajcaria, Bruksella, Londyn, zrywy i rozczarowania, miłość, cierpienie, rozpacz, olbrzymia galeria postaci, z którymi autor się stykał, od nic nie znaczących pionków do ludzi tej miary, co Bakunin lub Garibaldi — wszystko jak w filmie utrzymującym wciąż widza w napięciu, przesuwa się przed naszymi oczami przy czytaniu tej znakomitej książki. I ta świadomość towarzysząca nam nieustannie, że to wszystko naprawdę było, że ci ludzie istotnie żyli, że takie właśnie sytuacje prawdziwie istniały. A niektóre spostrzeżenia i wrażenia autora są zwłaszcza dla nas, Polaków, szczególnie interesujące.

Oto wieczór u Chojeckiego w związku z inauguracją wydawnictwa „Trybuny ludów". Gości wiele, wśród nich oczywiście i Mickiewicz. „Stał przy kominku — pisze Hercen — oparty łokciem o blat mar-

murowy. Wiele myśli i cierpień przeszło po jego obliczu, litewskim raczej niż polskim. Ogólny obraz jego postaci, głowy z wspaniałymi siwymi włosami i znużonym wzrokiem wyrażał przeżyte nieszczęście, znajomość z bólem wewnętrznym, egzaltację goryczy — to był obraz plastyczny losów Polski. Podszedłem do niego, zaczął mnie rozpytywać o Rosję, wiadomości jego były postrzępione, ruch literacki po Puszkinie znał mało, zatrzymawszy się na tym czasie, w którym Rosję opuścił". Hercena razi bałwochwalczy stosunek emigrantów do Mickiewicza, że podchodzili do niego „jak zakonnicy do przeora" z pokorą i nabożeństwem, że niektórzy całowali go w ramię. Tak jak w innym znów miejscu oburza go, że towarzyszący mu w drodze przez plac Vendome emigrant polski zdjął kapelusz przechodząc obok pomnika Napoleona.

A oto Hercen wspomina Stanisława Worcela. Dłuższy ustęp poświęca polskiemu patriocie i demokracie, którego odwiedzał parokrotnie i przed jego śmiercią. Przytoczmy interesujący szczegół:

„Worcel nigdy nie mówił o swojej rodzinie. Kiedyś szukał dla mnie jakiegoś listu; otworzył pudełko. Leżała tam fotografia jakiegoś sytego młodzieńca z oficerskimi wąsami. — Zapewne Polak i patriota? — spytałem, żartując raczej niż indagując. — To — odparł Worcel patrząc w stronę i odebrawszy mi pośpiesznie portret — to... mój syn. Dowiedziałem się później, że był urzędnikiem rosyjskim w Warszawie. Córka jego wyszła za jakiegoś hrabiego i żyła bogato, ojca nie znała.

Na dwa dni przed śmiercią Worcel dyktował Mazziniemu swój testament — wskazania i hołd dla Polski, pozdrowienia dla przyjaciół. — Teraz wszystko, rzekł umierający. Mazzini nie odkładał pióra. — Niech pan pomyśli, czy nie chce pan w tej chwili... — Worcel milczał. — Czy nie ma osób, którym miałby pan coś powiedzieć... Worcel zrozumiał, twarz jego zasnuła chmura i odparł: — Nie mam im nic do powiedzenia. — Nie znam przekleństwa, które brzmiałoby straszniej i kładło się większym ciężarem od tych prostych słów" — kończy to wspomnienie Hercen.

Tego rodzaju ustępów związanych z postaciami naszej Wielkiej Emigracji znaleźć by można u Hercena znacznie więcej. Ale niemniej interesujące są inne: oto fascynująca historia rewolucjonisty francuskiego, robotnika Barthelemy'ego, jego procesu, wyroku skazującego go na zesłanie na Belle Isle, ucieczki, pobytu w Londynie, pojedynku z Cousené, w którym ostatni zginął, drugiego procesu, tym razem przed sądem angielskim, i trzeciego, który się skończył straceniem Barthelemy'ego. Oto niezapomniane stronice „Camicia Rossa" poświęcone Garibaldiemu, na których postać wielkiego Włocha rysuje się tak plastycznie i żywo, że jest niemal namacalna.

I oto wreszcie ponure i przygnębiające wspomnienie osobiste: wstrząsające rozdziały „Oceano Nox" o tragicznym wypadku okrętu, na którym jechali matka i syn pisarza do Nicei, gdzie ich oczekiwał Hercen z żoną, a potem śmierć ostatniej i niemowlęcia, śmierć, która nastąpiła tak rychło po powrocie ukochanej Natalii do męża, porzuconego na jakiś czas przez nią dla rewolucjonisty i poety niemiec-

kiego Herwegh'a. W całej literaturze światowej mało się znajdzie równie wrzuszających ustępów, jak te, które czytamy w intymnych rozdziałach „Oceano Nox".

O tym wszystkim Hercen pisze. A jak pisze? Oto opinia Turgieniewa: „Język jego do szaleństwa nieprawidłowy, wprawia mnie w zachwyt: to żywe ciało". A później: „W ostatnich dniach znajdowałem się pod wrażeniem tej części „Przeżytego i przemyślanego" Hercena, w której opowiada on o dziejach swej żony, jej śmierci itd. Wszystko to napisane jest łzami i krwią; to — płonie i pali... Tak pisać umiał jedynie on wśród Rosjan". „Do szaleństwa nieprawidłowy" — to się odnosi do licznych u Hercena gallicyzmów, zwrotów zapożyczonych z języka francuskiego. Ale „żywe ciało" — określenie świetnie charakteryzujące to tchnienie prawdy życiowej, jakie owiewa wszędzie czytelnika tych „łzami i krwią" pisanych stronic. A styl? Jakżeż nieraz artystyczny i piękny, jak odkrywczy w takich na przykład zdaniach jak to o naturze: „tysiące i tysiące lat spoczywała w kamiennym omdleniu", albo to o morzu: „miarowymi stopami wieczyście nieskończonych heksametrów pluszcze o wspaniały cokół Italii", albo ten „spondej angielskich zegarów", który w starych komnatach dzieli czas na części; lub to zbyt może wyszukane: „nie jesteśmy nitkami ani igiełkami w rękach fatum szyjącego pstrą tkaninę historii".

A humor artysty, jego dowcip i kalambury rozjaśniające od czasu do czasu ponure na ogół tło hercenowskiej rzeczywistości...

Porywająca fabuła, głębia myśli i artyzm formy — to wszystko składa się na trwałą wartość dzieła Hercena, które już szczęśliwie wytrzymało próbę bez mała stulecia. Tak, za mało znamy w Polsce Hercena. Za mało go u nas tłumaczono. Polityk przesłonił nam pisarza, którego utwory, a przede wszystkim „Przeżyte i przemyślane", powinny być udostępnione nie znającym rosyjskiego czytelnikom. Może to jednak nastąpi. Bo warto.

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

PRASA LITERACKA W POLSCE ODRODZONEJ

Piętnaście miesięcy Polski odrodzonej, w co wchodzi półrocze Piemontu lubelskiego, legitymuje się bardzo szczupłym dorobkiem wydawniczym w zakresie książek z literatury pięknej (kilka zbiorków poezyj), ale za to może się poszczycić wcale bogatą jak na ten krótki okres czasu prasą literacką i to stojącą na dość wysokim poziomie. „Odrodzenie", „Kuźnica", „Życie Literackie", „Odra", „Twórczość", a ostatnio „Zdrój" to pozycje w tym bilansie poważne.

Na czoło siłą rzeczy wysuwa się najstarsze „Odrodzenie", które już we wrześniu, więc w niecałe półtora miesiąca po wyzwoleniu części Polski, rozpoczyna swoją działalność, wydając w ciągu roku 40 numerów. Redagowane doświadczoną ręką sygnalisty Kuryluka, potrafiło w ciągu tego czasu przypomnieć nazwiska prawie wszystkich ocalałych i przebywających w Polsce przedwojennych literatów (coraz się ktoś nowy odnajdywał!) oraz zaprezentować młodych, których talent rozwijał się w czasie wojny, a wśród których, w prozie zwłaszcza, znajdujemy wcale

tęgie pióra. Nie można tego powiedzieć o debiutach poetyckich, choć i tu czasami spotykało się ciekawsze fragmenty, jeśli nie całe utwory (ostatnio np. Tad. Różewicz).

Dorobek późniejszych i rzadziej wychodzących miesięczników: łódzkiej „Kuźnicy" i poznańskiego „Życia Literackiego" nie odznacza się, oczywiście, taką obfitością, niemniej ciężar gatunkowy zamieszczanych tu utworów jest poważny. „Kuźnica" to pismo radykalnej myśli polskiej i, jako takie, nie ogranicza się tylko do rzeczy ściśle literackich, jak przeważnie „Życie Literackie", zgodnie zresztą ze swym tytułem. Z wierszy „Kuźnicy" na uwagę zasługuje debiut Castellatti, dobre przekłady z rosyjskiego, z prozy — nowela M. Szczepańskiej. „Życie Literackie" grupuje zazwyczaj część tematów w poszczególnych numerach dokoła jakiejś zasadniczej osi: Śląsk, morze, Warszawa.

Katowicka „Odra" jest żywo i inteligentnie redagowanym czasopismem literacko-społecznym. Skupia wybitniejszych pisarzy śląskich (dawna „Fantana", Osmańczyk i in.) zamieszczając również prace autorów spoza swego regionu. W N-rze 2 aktualny artykuł wstępny A. Szutery o Zaolziu, Nr 3 zawiera m. in. ciekawe wspomnienia M. Szyjkowskiego o pobycie Wojciecha Korfantego w Pradze, rozważania Tad. Bronowskiego „O linię polityki kulturalnej", interesujący fragment prozy ofiary hitlerowskiej, przedwcześnie odeszłego pisarza śląskiego Józefa Ryszki („Szczepona") — „Dni powikłane", oraz wiersze Szewczyka, Bąka i Nachta (ładna „Repeta"). Śląsk nie zapomina o swoich bliskich pobratymcach, o czym świadczą wspomnienia autora łużyckiego Antoniego Nawki „Pod hrodźiszćom". Poza przekładami z rosyjskiego jedyne to ze slawików, jakie znajdujemy w prasie literackiej, a przecież hasło zbliżenia narodów słowiańskich znalazło nawet oficjalny wyraz w Manifeście Pekawuenu.

Krakowski miesięcznik literacko-krytyczny „Twórczość" w zeszycie 1-szym przynosi między innymi piękną nowelę Iwaszkiewicza „Stara cegielnia". „Powrót" Andrzejewskiego robi tylko oskomę do poznania dalszych dziejów Gaszyckiego i jego synka. W obu utworach autorzy przejawiają doskonałą znajomość duszy dziecięcej, której subtelną analizę przeprowadza zwłaszcza Iwaszkiewicz, u Andrzejewskiego niezapomnianą sceną jest powitanie Tomaszka z ojcem. Wspomnienia Peipera ciekawe są, ale nie ze względu na momenty etnologiczne. Kurek prezentuje się „przedśpiewem" z powieści „Janosik", będącym trawestacją smutnego „Drzewa boleści". Wiktor i Dyboski w prozie, a Staff, Przyboś, Hołuj i Bieńkowski w poezji uzupełniają zeszyt, którego pozycją najoryginalniejszą jest niezmiernie ciekawa i przekonywująca wycieczka K. Wyki w dziedzinę psychologii gospodarczej społeczeństwa polskiego na tle zjawisk ekonomicznych w tzw. Generalnym Gubernatorstwie w okresie okupacji.

Cztery numery „Zdroju" chlubnie prezentują region lubelski. Pismo ma służyć sprawom upowszechnienia kultury, gorąco propagowanym przez inspiratora „Zdroju" J. N. Kłosowskiego. Stąd jego nie tyle popularny, ile bardziej przystępny charakter, który jednak nie wpływa na obniżenie poziomu dwutygodnika. Zresztą nazwiska takich współpracowników, jak prof. Kleiner, Parandowski obok wybitniejszych pisarzy lubelskich, dają gwarancję, że „Zdrój" rolę swoją spełni należycie.

W okresie, gdy książki beletrystyczne nie ukazują się prawie wcale, literatura piękna poza pismami specjalnymi ma możność wypowiadania się w dodatkach niedzielnych niektórych gazet oraz w tygodnikach różnego typu. Niestety, nie wszystkie dzienniki wprowadziły tego rodzaju kolumny tygodniowe, a i nie zawsze poziom drukowanych utworów jest należyty. Toteż słusznie Zjazd Literatów wysunął żądanie, by dodatki takie prowadzili członkowie Związku Zawodowego Literatów. Ze znanych nam pism codziennych najlepsze dodatki mają krakowski „Dziennik Polski", warszawska „Rzeczpospolita" i „Dziennik Ludowy". Czasami interesujące artykuły i utwory z literatury pięknej znaleźć można w tygodnikach („Nowa Epoka", „Tygodnik Powszechny" oraz „Radio i świat", na poziomie popularnym „Przekrój"). Nawet pisma młodzieżowe zamieszczają czasem rzeczy cenne, tak np. w „Walce młodych" z prawdziwym zainteresowaniem czytaliśmy wspomnienie K. Kosińskiej o Marii Koszyc i jej roli w ostatnich latach życia Zegadłowicza.

KRONIKA SŁOWIAŃSKA

Tom 5—6 „Oktiabria" zawiera m. in. cenny szkic W. Piercowa „Majakowskij i muza rosyjska" (na 15-lecie śmierci poety). (Wobec słabej u nas na ogół — mimo niektórych przekładów — znajomości czołowego poety radzieckiego byłoby rzeczą pożyteczną spolszczenie tego szkicu i zamieszczenie go w którymś z czasopism literackich, rozporządzających większą ilością miejsca).

*

Konstantin Simonow, znany polskim czytelnikom z odcinka „Rzeczypospolitej" (opowieść „Dni i noce"), wydał tom opowiadań osnutych na tle walk partyzanckich w Jugosławii, gdzie autor przebywał jako korespondent wojenny. Książka ma tytuł: „Zeszyt jugosłowiański".

*

Prof. I. N. Rozanow zebrał „Pieśni rosyjskie wieku 19". Książka składa się z sześciu części: pieśni o pieśniach, klasyczne pieśni ludowe, pieśni rosyjskie będące skrzyżowaniem poezji książkowej i ludowej, pieśni i romanse znakomitych pisarzy, niezapomniane pieśni zapomnianych poetów i przeróbki wierszy na pieśni. Rzecz ukazała się nakładem M. Goslitizdatu.

W związku ze 100-leciem śmierci Boratyńskiego (1844) ukazał się zwięzły szkic I. Miedwiediewej o życiu i twórczości poety.

*

W „Bibliotece Słowiańskiej" M. Goslitizdatu wyszedł przekład wierszy i opowieści Jana Nerudy, jednego z wybitniejszych pisarzy czeskich z połowy ubiegłego stulecia.

*

O Briusowie z okazji dwóch jego rocznic (70-lecia urodzin — 1873 i 20-lecia śmierci — 1924) pisze I. Siergijewskij („W. J. Briusow" Goslitmuziej 1944). Autor cytuje słowa Gorkiego, który jeszcze w r. 1917 określił Briusowa jako „najkulturalniejszego pisarza w Rosji" i dodaje od siebie: „humanistyczne odczuwanie świata i patos twórczej pracy zbliża Briusowa do Gorkiego").

NOTY

W PIERWSZYCH DNIACH WRZEŚNIA odbył się w Krakowie ogólnopolski Zjazd Delegatów Związków Zawodowych Literatów Polskich. Do nowego Zarządu Głównego, którego siedzibą będzie Warszawa, wybrano Jarosława Iwaszkiewicza jako prezesa oraz Edwarda Kozikowskiego, Adama Polewkę, Stanisława Piętaka, Tadeusza Brezę, Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego oraz Mieczysława Jastruna jako członków. Zjazd słusznie potępił ekscesy antysemickie i pisarzy kollaboracjonistów (Skiwskiego, Wasylewskiego i Burdeckiego — Polska może być dumna, że miała ich tylko trzech!) i niesłusznie domagał się przywrócenia dawnej pisowni. Rozumielibyśmy najbardziej krańcowy projekt uproszczenia ortografii aż do skasowania *ó* i *rz* włącznie, ale nie widzimy potrzeby nawrotu do dawniejszej, która wcale nie była łatwiejsza, nie mówiąc o tym, że młode pokolenie przyzwyczaiło się już do nowej.

DEKLARACJA IDEOWA ZJAZDU Delegatów Związku Zawod. Literatów Polskich: „My, pisarze polscy, zgromadzeni na pierwszym zjeździe w wyzwolonej, niepodległej i demokratycznej Polsce, w szóstą rocznicę wybuchu wojny składamy hołd bohaterom, którzy przelali krew na wszystkich frontach walki z faszyzmem. Głęboko jesteśmy przeświadczeni, że tylko całkowite powalenie faszyzmu, który niósł zagładę kulturze świata, otwiera nową, lepszą epokę w dziejach ludzkości i ratuje dobro kultury od zniszczenia. W sojuszu twórczej polskiej myśli z mocami postępu i demokracji, które podjęły ciężar przebudowy świata, pragniemy, aby słowo „ludzkość" istotnie zawierało w sobie najszlachetniejsze człowiecze wartości. Biorąc rozbrat z ideami wstecznictwa, oparci o najlepsze tradycje polskiej i europejskiej myśli humanistycznej, pragniemy również, aby pióra nasze sprostały przetworzeniu w artystyczny kształt wszystkich dążeń i przeżyć naszego Odrodzonego Narodu i Odrodzonej Ludzkości. Postanawiamy twórczością naszą współdziałać przy kształtowaniu takiej psychiki nowego człowieka, aby stanowiła ona gwarancję, że zbrodnie straszliwej wojny nie powtórzą się już nigdy. Jesteśmy przekonani, że pogłębienie stosunku naszego do zagadnień społecznych i kulturalnych pozwoli nam na rozszerzenie zasięgu naszego działania. Wierzymy, że tą drogą literatura przeniknie do mas, nie tylko nie obniżona w swoim poziomie, lecz realizująca swoje najwyższe możliwości. W szczególności kładziemy nacisk na odbudowę moralnych podstaw społeczeństwa i uważamy wysoki poziom etyczny twórczości literackiej za najbardziej akcentowany przez nas postulat. Wierzymy, że odtąd rozpocznie się nowy etap odrodzonej literatury polskiej, dążącej do wielkości przez służbę dla Narodu i dla Człowieka". —kaj—

W SZÓSTĄ ROCZNICĘ tragicznej śmierci Józefa Czechowicza odbył się w Lublinie z inicjatywy Klubu Literackiego poranek poświęcony pamięci pierwszej ofiary wśród poetów z lat wojny. W świat poety w płaszczyźnie bezpośrednio życiowej wprowadził licznie zgromadzonych słuchaczy Feliks Araszkiewicz swym żywym wspomnieniem o Czechowiczu. Głos młodego pokolenia hołdującego szkole czechowiczowskiej reprezentował pół-krytyczny a zaprawiony akcentami lirycznymi szkic Julii Hartwig. Czesław Janczarski wygłosił swój wiersz „Pamięci Czechowicza". Całości dopełniły recytacje szeregu wierszy poety, które wykonali artyści Teatru Miejskiego w Lublinie. —bj—

10 –
9657/62

Drukarnia Nr. 1
SPÓŁDZ. WYDAW.
„CZYTELNIK"
Lublin,
ul. Zamojska 24.
Karta zam. A. 4417

852